Nr. 45. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 9 listopada 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Uwagi nad wyobraźnią.

Przez

Juljana Ochorowicza.

Każdą rozprawę psychologiczną możnaby rozpoczynać od rozróżnienia dwu rodzajów zjawisk — a mianowicie: wewnętrznych, do których należą nasze myśli, uczucia i popędy — i zewnętrznych, które obejmują wszystkie fizyczne i chemiczne objawy zmysłowéj przyrody.

Podział taki, na czele rozprawy uprzytomniony, przedstawia tę wielką dogodność, że przez cały ciąg czytania pozwala czytelnikowi rozmieszczać niejako i porządkować w umyśle zdania autora i własne nad niemi uwagi — autora zaś uwalnia od ciągłego powtarzania się, bez obawy niejasności lub nieporozumienia.

Tak tedy i my zacznijmy od uprzytomnienia sobie rozdziału tych dwu światów, pomiędzy którymi rozgrywa się cała działalność ludzkości.

Ze sfery wewnętrznych, duchowych zjawisk, wybierzemy jeden dział tylko: dział myśli — z działu myśli jeden tylko zasadniczy ich pierwiastek: wyobrażenie — a i to uważać będziemy pod jednym tylko względem, jak to dalsza treść rozprawki wykaże.

Wyobrażać jest to uprzytomniać w umyśle doznane wrażenia lub też ich duchowe kombinacje.

W téj chwili spoglądam przed siebie i widzę stół, na którym piszę, szafę, okno, łóżko i wszystkie sprzęty znajdujące się w pokoju.

Widzę — a więc wyobrażam. Nie można widzieć nie wyobrażając. Widzenie nie jest procesem czysto zmysłowym. Oko samo nie widzi — nawet nerw wzrokowy sam nie widzi — nawet mózg sam nie widzi — tylko siła ożywiająca mózg widzi. U człowieka śpiącego, gdy mu zbliżymy świecę do oka uchyliwszy powiekę, na siatkówce oka powstanie obraz świecy, zupełnie tak samo, jak w ciemni optycznéj fotografa, a jednak śpiący nie widzi; obraz ten podraźni nerw wzrokowy — a jednak śpiący nie widzi; podraźnienie to może się przenieść do mózgu, z mózgu do mlecza pacierzowego, może podraźnić nerwy ruchowe a za niemi muszkuły — śpiący podniesie rękę instynktownie ażeby się bronić od napaści — a jednak nic o tém wszystkiém nie wié. — Że tak jest rzeczywiście, że wrażenie może dojść do mózgu nie będąc ujętém przez świadomość, dowodzi tego następujący przykład, o tyle lepszy, że w nim przytomność umysłu zachowuje się, a więc pozwala nam sprawdzić rzeczywistość zjawiska na razie.

Zdarza się często, że wczytawszy się pilnie w zajmującą nas książkę, nie słyszymy słów, które do nas zwraca ktoś obecny i prosimy o powtórzenie zapytania — ale w téj chwili słowa wymówione uprzytomniają nam się w umyśle i zanim pytający zdążył powtórzyć zapytanie, odpowiadamy na nie. Wrażenie, a nawet cały szereg wrażeń doszedł do mózgu — nie doszedłszy jednak do świadomości, ponieważ ta czém inném zajętą była.

Podobnież zdarza się, że nie zważamy gdy zegar bije godzinę — ale po chwili uprzytomniamy sobie w umyśle liczbę uderzeń, które już przebrzmiały — i dowiadujemy się o godzinie w chwili, kiedy zegar już bić przestał.

Zatém ażeby mieć świadomość rzeczy otaczających, nie dosyć jest ulegać wrażeniom od nich pochodzącym, trzeba jeszcze przyswoić je sobie, trzeba je sobie wyobrazić. Dopiéro wtedy, gdy w umyśle naszym zarysował się obraz jakiéjś rzeczy, możemy powiedzieć, że wiemy o niéj. Słyszymy melodję nie wtedy, kiedy nam wpada do ucha, lecz wtedy, gdy ją uprzytomniamy w umyśle, można bowiem siedzieć przy saméj orkiestrze i nie wiedzieć co grają, jeśli się jest zajętym rozmową — i na odwrót można słyszeć odległą muzykę, nie słysząc najbliższéj rozmowy, jeżeliśmy się poprzednio w ową odległą muzykę wsłuchali. W pierwszym i w drugim razie ucho robi swoje a myśl swoje.

Możemy tedy ustalić następujący pewnik psychologiczny:

Ażeby mieć świadomość jakiéjś rzeczy, potrzeba ją sobie wyobrażać.

To cośmy dotychczas zauważyli, dotyczyło najprostszéj władzy wyobraźni: świadomego ujmowania wrażeń zewnętrznych.

Ale wyobraźnia nasza spełnia inne jeszcze, daleko trudniejsze obowiązki.

W téj chwili zamykam oczy — a pomimo to w myśli znajduję uprzytomnioną postać mego pokoju, mego okna, stół, szafę i wszystkie najdrobniejsze sprzęty na stole rozstawione mogę sobie dokładnie odtworzyc w umyśle, prawie tak dokładnie, jak gdybym na nie patrzał, jak gdybym się ich dotykał. Toż samo doświadczenie mogę powtórzyć po upływie pewnego czasu, a nawet w obcém miejscu. W tym razie przedmioty nie działają już na moje zmysły — a jednak wyobrażam je sobie. To dowodzi: 1) że wyobrażenia tych przedmiotów były już poprzednio utworzone w moim umyśle; 2) że z chwilą usunięcia wrażeń, które je wywołały, nie przestały jednak istnieć i 3) że istniejąc przez pewien czas w stanie utajonym, mogą być w danéj chwili przywołane do świadomości.

Pierwszego warunku, jak widzieliśmy, dopełniła wyobraźnia — drugi był dziełem pamięci — trzeci wyobraźni i pamięci. — Pamięć jest martwą wyobraźnią — wyobraźnia żywą pamięcią. Podobnie jak przypomniałem sobie kształt, kolor i wielkość sprzętów rozstawionych na moim stole — tak mogę sobie uprzytomnić katedrę kolońską, którą widziałem przed tygodniem — kościół św. Pawła w Londynie, który widziałem przed miesiącem i t. d. Odległość nic tu nie znaczy — a czas znaczy tyle tylko, że im dawniéj rzecz jaką widzieliśmy, tém trudniéj ją sobie uprzytomnić. W każdym zaś razie z daleka czy z bliska, dawno czy niedawno widziany przedmiot, nigdy nie będzie tak jasnym we wspomnieniu, jak w bezpośredniéj obserwacji. Wyobrażenie, które przeszło przez sferę pamięci, jest zawsze mniéj jasném, aniżeli niém było w chwili swego tworzenia się.

Odtwarzanie wyobrażeń raz utworzonych jest więc drugą właściwością wyobraźni.

Idźmy daléj.

W przykładzie poprzednio rozbieranym powiedziano:

„W téj chwili zamykam oczy, a pomimo to w myśli znajduję uprzytomnioną i t. d.“ Czytelnik który ten ustęp odczytał, wié, że była w nim mowa o możności odtwarzania wrażeń zmysłowych — wié, że dla przykładu, mówiłem o sobie jako o tym, który zamyka oczy i usiłuje w myśli odtworzyć rzeczy widziane uprzednio. Zatém wyrazy wydrukowane w owych kilku wierszach, obudziły w umyśle czytelnika czy też czytelniczki mniéj lub więcéj jasne wyobrażenie autora niniejszéj pogadanki, zamykającego oczy i przypominającego sobie rzeczy widziane.

Jakąż w tym razie była działalność wyobraźni... dajmy na to pięknéj czytelniczki?

Czytelniczka nietylko nigdy nie widziała mnie zamykającego oczy, ale może nawet nigdy nie będę miał téj przyjemności, żebyśmy się z sobą spotkali oko w oko... Widocznie więc działanie jéj wyobraźni nie było bezpośredniem odtworzeniem wrażeń doznanych. Czémże tedy było?

Niepodobna sobie wyobrazić człowieka, którego się nigdy nie widziało, ale można sobie wyobrazić człowieka w ogóle. Wszyscy mamy pewne cechy wspólne; te to właśnie cechy wspólne, napotykane u najrozmaitszych ludzi, pozwalają każdemu z nas wytworzyć w umyśle swoim pewne zbiorowe wyobrażenie postaci ludzkiéj, niejasne w szczegółach, ale najzupełniéj dokładne w ogólnych zarysach.

Ten to człowiek średni, jakby powiedział Quetelet, ten to ogólny typ ludzkich kształtów, siedzący nad papierem przy stoliku i zamykający oczy — przyszedł na myśl pięknéj czytelniczce, wywołany treścią wyrazów wydrukowanych powyżéj.

Zatem, w tym ostatnim razie, wyobraźnia czytelniczki uprzytomniła w jéj umyśle nie bezpośrednio doznane wrażenia, lecz pośrednio pod wpływem przeczytanego zdania, przywołała na pamięć ogólne wyobrażenie zmysłowe, ze złożenia wielu innych szczegółowych powstałe.

Takie wyobrażenie ogólne, czyli, mówiąc krócéj, takie pojęcie, jest zawsze mniéj wyrazistém, aniżeli każde z wyobrażeń szczegółowych, z których powstało. Daleko wyraźniejszy obraz staje mi przed oczyma duszy, gdy myślę o panu Piotrze, moim dobrym znajomym, aniżeli gdy myślę o człowieku w ogóle. Niemniéj jednak pojęcie moje człowieka w ogóle jest tak stanowczém i tak dokładném, że nie pomieszam go nigdy z żadném inném pojęciem. Zkąd to pochodzi?

Weźmy przykład.

„Oto jest dziki człowiek z wysp Przyjacielskich“, woła wędrowny etnolog, objaśniając grono ciekawych, zwiedzających jego budę jarmarczną. I oczy wszystkich zwracają się na tego człowieka — w pamięci obecnych utrwala się jego postać, kolor jego skóry, forma odzienia, włosy, ozdoby, maczuga wreszcie. — Dziś przypominam sobie tego człowieka i przekonywam się, że mam o nim dokładne wyobrażenie szczegółowe — gdybym go spotkał, poznałbym go niezawodnie.

Nie ulega wątpliwości, że gdybym w miejscu jednego widział dziesięciu, stu dzikich ludzi z wysp Przyjacielskich, pojęcie moje o ich ludności byłoby nierównie dokładniejszém. Ale czy pamiętałbym równie dokładnie rysy każdego z nich, tak jak zapamiętałem rysy owego jednego, któregom widział? — Bynajmniéj. Dla czego? — Dla tego, że różnice fizjognomiczne, jakie znalazłem u każdego z nich, zlewając się w umyśle moim z różnicami indywidualnemi reszty jego współziomków, zacierają się wzajemnie, nikną, na tle owych cech wspólnych, które składają się na wytworzenie pojęcia. — Zato samo pojęcie staje się dokładniejszém — i gdybym znów kiedy spotkał kilku ludzi dzikich, mógłbym łatwiéj ocenić, czy należą do mieszkańców wysp Przyjacielskich, czy też nie — łatwiéj, ponieważ widziałem już takich i owakich — nie zaś jednego tylko, który sam przez się nie może być jeszcze dostatecznym wzorem dla typu całéj ludności.

W ten sposób wyobraźnia nasza tworzy z wyobrażeń szczegółowych — pojęcia — i to stanowi trzecią jéj właściwość.

W przypadku, któryśmy rozebrali, wyobrażenia szczegółowe zlewając się z sobą, zatracały swą indywidualność; ale taka utrata samodzielności nie jest stanowczą, ani też konieczną. Obraz pana Piotra, o którym wspomniałem, przyczynił się także do rozszerzenia mego pojęcia o człowieku w ogóle, niemniéj jednak mogę go w danéj chwili przywołać do świadomości i uprzytomnić sobie niezależnie od obrazu innych ludzi. Wyobrażenie jego łączy się z wyobrażeniami innych, nie tracąc jednak swéj samoistności. Tak n. p. przypominam sobie, żem p. Piotra spotkał raz idącego pod rękę z p. Pawłem — i podobnie jak ich organizmy zjednoczyły się za pośrednictwem rąk — tak w umyśle moim wyobrażenia obu skojarzyły się na zasadzie współczesności. Ponieważ zaś bardzo często widywałem p. Piotra z p. Pawłem, przeto ile razy wspomnę jednego i drugi mi się przypomina.

Widocznie wyobraźnia nasza ma władzę kojarzenia z sobą wyobrażeń bez zatarcia ich indywidualności — i to stanowi czwartą jéj właściwość.

Nie ma takiego wyobrażenia, któreby z jednéj

strony nie przyczyniało się do wytworzenia jakiegoś ogólniejszego pojęcia, a z drugiéj nie było skojarzone z całą grupą innych wyobrażeń, czy to na zasadzie współczesności, jak w poprzednim przykładzie, czy téż na zasadzie związku części z całością, podobieństwa, kontrastu, na zasadzie łączności przyczyny i skutku, lub wreszcie na podstawie przyzwyczajenia, wytworzonego pod działaniem tychże warunków.

Takie skojarzenia mogą być mniéj lub więcéj ścisłe, mogą być czysto przypadkowe, ale mogą téż być niejako organiczne. Skojarzenie wyobrażenia p. Piotra z wyobrażeniem p. Pawła było przypadkowe, ale n. p. skojarzenie wyobrażenia koloru złotego z wyobrażeniem jakiegoś przedmiotu złotego, jest koniecznem i stałém, ponieważ nie widzieliśmy nigdy koloru złotego w oderwaniu od przedmiotu złotego lub pozłacanego. Z drugiéj strony wyobrażenia kojarząc się, mogą tworzyć pewien rodzaj mozejki duchowéj, przedstawiającéj pewną zamkniętą w sobie całość. Tak n. p. możemy sobie wyobrazić słonia z twarzą ludzką, ze skrzydłami ptasiemi i z koroną na głowie. Nikt takiéj istoty nie widział, ale widziano osobno słonia, twarz ludzką z koroną na głowie i skrzydła ptasie. Fantazja (bo tu już wyobraźnia staje się fantazją) połączyła z sobą powyższe wyobrażenia szczegółowo w jednę całość organiczną — i powstał bożek Assyryjczyków. Wyobrażali oni sobie Boga po swojemu; chcieli w nim widzieć siłę — dali mu więc postać słonia; ale twarz słonia, jak na boga, była trochę za głupia — przydali mu więc twarz mędrca, poważną, z długą brodą ufryzowaną w loki; obok siły i mądrości chcieli bogu swemu przypisać lotność — dali mu więc ptasie skrzydła; wreszcie widzieli w nim króla królów — zatém głowę jego przybrali wspaniałą koroną. (Dokończenie nastąpi.)

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

V.

Cóż robił, zapytacie, satrapa wileński, książę Dołhoruki? Jak mógł ten dumny pan z panów pozwolić na takie nadużycia władzy, na te tortury i pastwienie się nad bezbronnymi? — Książę-pan gniewał się wówczas na Polaków. Bo i jakże to, proszę, od Najjaśniejszego Pana dowiaduje się, że jest na świecie jakiś Konarski, że przebywa i wichrzy w najmiłościwiéj powierzonym jego pieczołowitości kraju, który on tak umiłował, i w którym jemu było tak dobrze, a tymczasem nikt z otaczających go Polaków, owych Marcinkiewiczów Żabow, których obdarzał swoją łaską, nikt go nie uprzedził, nikt mu nie doniósł, że się śmiał zjawić taki ladaco, który się ważył spiskować pod jego okiem i dążyć do wskrzeszenia Polski i to jeszcze przez lud, ale lud wolny, który oswobodzając ojczyznę od ciemiężców, oswobodzi i siebie ze strasznéj niewoli poddańczéj.

Dał więc Jasny książę pełną władzę Trubeckiemu, udając, że nie wié o nadużyciach, a tymczasem bawił się wesoło, dawał bale i obiady, zmuszając i bogatszą szlachtę, ma się rozumieć arystokratyczną, do bawienia siebie, wypożyczał pieniądze, grał w karty, jadł za dziesięciu i tył coraz więcéj.

Miał téż książę jegomość i osobiste kłopoty w owym czasie. Kochał się on w pani Anieli Kołkowskiéj, z domu Podbereskiéj (z pretensją na herb Druck, bo to dawało prawo na księstwo, gdyż byli rzeczywiście na Litwie książęta Druccy-Podberescy, jak byli Druccy-Sokolińscy, Druccy-Horscy i jak są do dziś dnia Druccy-Lubeccy). Śliczna jak anioł, młodziutko wydaną została za mąż za Bazylego Kołkowskiego, radcę izby skarbowéj, najzacniejszego w świecie człowieka, a zakochanego po uszy w swojéj młodéj i hożéj małżonce, z którą miał synka Mikołaja. Zaraz prawie po przyjeździe do Wilna (w jesieni r. 1831) postrzegł on w towarzystwie Kołkowską i upodobał. Lubieżny satrapa zaczął od tego, że wysłał męża w interesach rządowych do Białegostoku, a dla zjednania go sobie dał mu krzyżyk na szyję. Pani Kołkowska, jak i większa część pań owego czasu, należących do wyższéj sfery, zgoła nie miała wyobrażenia o cnocie, o obowiązku i honorze. Była nawet moda na Moskalów, nie dla tego, ażeby się urodą odznaczali, ale dla tego, że mieli pieniądze, że posiadali władzę, że byli natarczywsi i zuchwalsi od Polaków. Nieposlednią téż rolę grał w tém i mundur moskiewski. Znaną jest powszechnie nauczka, jaką na kilka lat przed tém młodzież uniwersytecka dała płci pięknéj, arystokratycznéj szczególnie, w Wilnie. Na jednéj z maskarad w domu Müllerów*) wchodzi na salę zamaskowany młodzieniec w bogatym huzarskim mundurze, którego srebrne sznury były rozciągnięte w prostéj linji, za które po obu stronach trzymały się prześlicznie i najmodniéj wystrojone dziewice; na plecach zaś huzara przyszpilona kartka: „Za mundurem panny sznurem.“

Łatwo więc było do obrzydliwości zatyłemu księciu pozyskać jeżeli nie serce, to względy pięknéj Kołkowskiéj. Mąż nie miał już po co wracać do Wilna. Z pokorą więc znosił upokorzenie swoje w Białymstoku, pocieszany od czasu do czasu krzyżykiem lub rangą. Wszakże skoro się dowiedział, że jego małżonka zbyt się zapomina, zażądał rozwodu, a chociaż biskup Jędrzéj Kłongiewicz był wielkim ascetą i nikomu rozwodów nie dawał, nie mógł przecie oprzeć się rozkazowi księcia jegomości, gdyż, jak zwykle mawiał prałat Grozmani**), ojcowie kościoła nie mogli przewidzieć, że książę Dołhoruki może zażądać tego lub owego, co jest zabronioném przez ojców kościoła. Pani Kołkowska została więc rozwódką. Mieszkała wspaniale, kłaniano się jéj, dobijano się o jéj przyjaźń, a dobijały się pierwsze panie, jak n. p. dama dworu carskiego hrabina Łopacińska i wiele innych. Były wszakże i wśród arystokracji poważne matrony, które najskrzętniéj unikały wszelkiéj styczności z pałacem. Na czele tych zacnych pań, które święcie przechowały tradycję lepszych czasów i cnoty niezbezczeszczonéj rozpustną epoką Stanisława Augusta i jeszcze rozpustniejszą wszechwładztwa moskiewskiego, stała zawsze Apollinara hrabina Platerowa, z domu Żabianka, córka głośnego wojewody połockiego Żaby, a matka zasłużonego dziś Władysława hr. Platera.

*) Dawniéj pałac Fleminga, podskarbiego litewskiego, następnie Brzostowskich, w końcu Müllerów, rodziców pani Moniuszkowéj, małżonki nieodżałowanego Stanisława.

**) Dołhoruki zwykle i wyższe duchowieństwo zapraszał na bale dawane w dni tabelne, zwykle zwane carskie, t. j. w dni koronacji, imienin i urodzin ca skiéj rodziny. Uczęszczali téż na te bale niektórzy z prałatów, szczególnie Grozmani, Mikucki i inni. Otóż pewnego razu, kiedy mu to wymawiał biskup Kłongiewicz, cytując przytém któregoś z ojców kościoła, Grozmani najnaiwniéj odpowiedział: „ależ, Wasza Excellencjo, albożto ojciec kościoła mógł przewidzieć, że mnie wezwie na bal książę Dołhoruki?!

Z pociechą w sercu moglibyśmy wyliczyć i kilka innych imion, które umiały zachować swą godność, a nie rzucamy broń Boże błotem i na ogół. Taka już była epoka!

Ale wróćmy do pani Kołkowskiéj.

Piękną, sprytną, a rozumną jak djabeł była pani Aniela; nie mogła jednak na zawsze przykuć do siebie satrapy. Wpadła mu w oko córka zacnego jenerała Wawrzeckiego, małżonka hr. Zabiełły, marszałka szlachty powiatu kowieńskiego. Zrazu przeniósł go na gubernjalne marszałkowstwo do Wilna, od Korony, bez wyborów, co jemu bardzo pochlebiło, bo był głupi a próżny. Spodziewając się większych dla siebie awansów, chętnie się zgodził na rozwód z żoną, za co, chociaż marszałkowstwo jego krótko trwało, ale został mianowany radcą stanu, szambelanem dworu carskiego i kawalerem orderu św. Włodzimierza klasy 3. Wypłacił mu téż Dołhoruki i gotówką znaczną gratyfikację. Podobno, że i Wawrzecki ustąpił część posagu córki, byleby się tylko pozbyć ze wszech względów niedobrego człowieka. Poczciwy starzec łudził się nadzieją, że romans z księciem skończyć się musi weselem, co mu zawsze solennie przyrzekał Dołhoruki.

Jednakże nie łatwo mu było rozstać się i z Kołkowską. Umiała ona jeszcze wywierać wpływ na satrapę, a do tego była w poważnym stanie. Pamiętamy jak dziś skandaliczną scenę wyjazdu jéj do wód za granicę. Jechała po pańsku kilku powozami, a kilka jeszcze powozów wiozło niektóre jasne panie wileńskie i na czele ich starą hrabinę Łopacińską, ażeby raz jeszcze pożegnać i uścisnąć serdeczną przyjaciółkę. Czuła ta scena odbyła się w Ostréj Bramie, gdzie kochanka księcia jegomości rzewnie modliła się, płakała, a szczere przyjaciółki nie mogły się nadziwić jéj pobożności i rzadkim przymiotom serca!

Wolniéj odetchnął Dołhoruki po wyjeździe Kołkowskiéj. Daleko młodsza od niéj, piękna, może nie taka rozumna, ale z daleko większém wykształceniem, hrabina Zabiełłowa owładnęła zupełnie satrapą wileńskim, a to tak dalece, że hr. Łopacińska i cały szereg przyjaciółek Kołkowskiéj nagle się przerzuciły i zostały admiratorkami nadskakującemi pięknéj hrabiny. Mieszkała ona przy rodzicach, w domu Zawadzkiego (dawniéj Olizarów), przy zaułku Bernardyńskim. Dołhoruki nie robił sekretu ze swych miłostek. Jakoż co wieczór jechał do hrabiny otoczony kozakami lub żandarmami z policmajstrem Mieżniowym na czele. Cała ta kalwakada wjeżdżała na dziedziniec, bramę zamykano, a eskorta z policmajstrem spokojnie czekała kilka godzin, czasami do świtu, aż dopóki książę pan izwolit nalubit'sia do syta, jak mówili kozacy.

Wróciła i Kołkowska, a przywiozła lubemu synka. Przyjął ją bardzo czule w pokoju umyślnie dla tego urządzonym i zamienionym w altankę z samych róż najpiękniejszych. Znowu zaczęło się odwiedzanie jednéj i drugiéj — wszakże ostatnia widocznie brała górę. A skoro Zabiełłowa ostatecznie zwyciężyła, pani Kołkowska udała się do klasztoru panien Benedyktynek przy kościele św. Katarzyny, gdzie odbyła sześciotygodniowe rekolekcje; tymczasem przyjechał do Wilna exmąż Bazyli Kołkowski z Białegostoku. Nieszczęśliwy ten człowiek kochał zawsze wiarołomną! Zgodził się więc chętnie wziąć ją do siebie — powtórny ślub odbył się cicho (latem 1838) w obecności kilku krewnych, potém obiad w Tiwoli za miastem na Antokolu i wkrótce państwo staro-młodzi udali się do Petersburga, ale już bez asystencji i hucznych pożegnań. Dołhoruki zapewnił los synowi. Był on późniéj oficerem i zabity na Kaukazie. Kołkowski otrzymał posadę prezesa izby skarbowéj, naprzód w Smoleńsku, późniéj w Orle. Zacny to był człowiek; rozumny, prawy urzędnik, najlepszy Polak, pobożny katolik. Ale cóż, całe jego życie złamała, zatruła niedobra ta i swawolna kobiéta. Zagryzła go, zadręczyła. Umarł w Orle, gdzie wybudował kaplicę cmentarną. Synowi (własnemu) i żonie zostawił znaczny fundusz. Wróciła ona do Wilna, jak gdyby mało jeszcze osromiła i splugawiła gród ten święty! — Wpadła w dewocję, przeplataną wybuchami istnéj warjacji, i umarła nareszcie prawie 70-letnią staruchą, w Wilnie, w sierpniu 1872 r.

O dalszych losach hrabiny Zabiełłowéj pomówimy na inném miejscu. A darujcie i za ten ustęp. Zwykłe to gadulstwa starych. Mówiąc o Konarskim, grzechem jest może wspominać nawet tak ohydne postacie; ale co robić — takie ustępy najlepiéj podobno charakteryzują epokę i ludzi.

Lękam się jednak, ażeby mnie nie posądzono, że brudzę rodzinne gniazdo. Gruboby się omylił, ktoby tak sądził. Będę miał jeszcze zręczność wyświetlić niejedną zacną i godną uwielbienia z szanownych matron naszych i nadobnych Litwinek, a że w ciągu opowiadania i o kąkol potrącić muszę, to już takie losy opowiadacza! Ale niech nikt mnie nie posądza o potwarz, a śmiało wyznam, że chociaż znam wszystkie dzielnice Polski, a wszędzie są i piękne i dobre, nigdzie wszakże nie znajdziecie tak pięknych, cnotliwych, a dobrych bez granic niewiast, jak na naszéj ukochanéj Litwie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ECHO.

(Z Puszkina).

Czy wyje zwierz w zapadłym lesie,
Czy rogi grzmią, czy burza rwie się,
Czy dziewic śpiew słychać z za gór:
Dzwięki najcichsze
W odgłosie twym znajdują wtór,
I odzew w wichrze!

Piorunem, odgłos ślesz ty w dal,
Poświstom burzy, grzmotom fal,
Pastuszkom fletni zwracasz głos
Co z rosą leci!
Bez echa sam!... Nie takiż los
I wasz? poeci!

Wł. Belza.

Włochy w 1871 r.

pod względem literackim, naukowym, dramatycznym i artystycznym.

(Dokończenie.)

E. Malarstwo i rzeźbiarstwo.

Przechodzimy wreszcie do ostatniéj części zamierzonéj pracy, to jest malarstwa i rzeźbiarstwa. Wprawdzie Italja jest uprzywilejowaną krainą sztuk pięknych i z łona swego wydaje tylu dobrych i zdolnych w każdym rodzaju sztuki artystów, ilu żaden inny kraj poszczycić się nie może, i można powiedzieć, że liczbą płodów artystycznych resztę świata zrównoważa, jednakowoż gdy obecny stan sztuk pięknych a szczególniéj malarstwa porównamy z XV i XVI stuleciem, z epoką odrodzenia, wyznać musimy, iż są one w upadku i nie mają żadnéj szkoły na wzór weneckiéj, florenckiéj, rzymskiéj etc. które niegdyś ze swego systemu, charakteru, dążności w świecie słynęły, a które od dawna, że tak powiem, w żyjącéj tradycji zwolenników i uczniów zniknęły i tylko ze starożytnych zbiorów i galerji dowiadujemy się o ich świetnéj i pożytecznéj exystencji.

Chcąc pojąć dobrze stan dzisiejszy sztuk pięknych w Itálji, nieco w przeszłość myślą cofnąć się trzeba. Brak talentu twórczego i niewolnicze naśladowanie takich mistrzów jak Michał Anioł i Rafael z Urbino, którym pod żadnym względem ich następcy dorównać nie mogli, zrodziły śmieszny barok, głównie na przesadzoném i manierowém przedstawieniu rzeczy polegający. Chęć i usiłowania podniesienia się z tego upadku w początkach bieżącego stulecia wytworzyły realizm, który się zasadza na pogodzeniu sztuki z rzeczywistością. Powstał on tym sposobem, iż artyści nie mając wzorów jakiegoś nowego twórczego talentu i niedowierzając dawnym mistrzom, którzy ich na tak zgubne wprowadzili tory, naturę, rzeczywistość obrali sobie za przewodnika w swych studjach i niéj się ściśle trzymali w swych utworach. Zrazu była nadzieja, że idąc tą drogą sztuka, to jest uszlachetniając ciągle, podnosząc i udoskonalając swe utwory, znowu przyjdzie do formy idealnéj, klasycznéj i tym sposobem nastąpi nowe jéj odrodzenie, daleko trwalsze i gruntowniejsze od pierwszego, bo oparte nie na niemych wzorach mistrzów, ale na żywéj i wszędzie nas otaczającéj naturze, tylko idealnie odczutéj, pojętéj i przedstawionéj.

Niestety rzeczy poszły innym torem, zkądinąd zgodnym z ogólnym dziś stanem umysłu ludzkiego, w pozytywizmie szukającego zbawienia. Większość artystów formę klasyczną i idealizowanie natury, które niczém inném nie jest, jak tylko szukaniem piękna w jéj łonie, uznała za niegodne dzieło nowych wysileń i dążeń, a skwapliwie chwytając ogólny charakter przedmiotów i wrażenia od nich odbierane, tworzy bardzo trafne szkicowe portreta natury, które mogą się podobać, lecz nie są w stanie wywrzeć na widzu wrażenia. Inna znowu część artystów, jakby parlamentarne centrum, nie zrywając z barycyzmem, ani téż ślepo rzucając się w objęcia realizmu, wytworzyła klasyczno-realistyczny amalgamat, który wiele powabu wywiera na wszystkich dyletantów sztuki. — Słynniejsi z téj szkoły rzeźbiarze są Pazzi Henryk i Fantacchiotti, obaj zamieszkują we Florencji. Reszta wreszcie rzeźbiarzy, bo zdaniem naszém nie może tu być mowy o malarzach, otwarcie wypowiedziała się za klasycyzmem, poszła na przebój materjalizmu swéj epoki i wydała z swego łona kilka niespożytych talentów, jak Canova, Tenerani, Fedi, autor porwania Polisseny w Portyku, Orcagna we Florencji i Jana Dupré, którego Safo może z najcelniejszemi tworami dawnéj Romy i Grecji pójść w porównanie i najsurowszą wytrzymać krytykę, a Kain i Abel pozostaną wiekopomném dziełem sztuki chrześcijańskiéj i tém większą stanowią dla autora zasługę i chwałę, iż znakomitém swém dziełem, umieszczoném w oddzielnéj sali w pałacu Pitti, dowiódł, że aby być klasykiem w sztuce niekoniecznie potrzeba szukać natchnienia i wzorów w mitologji lub historji starożytnego świata.

Do przedstawienia i określenia obecnego stanu sztuk pięknych w Italji w samą porę przychodzi mi w pomoc recenzja nieznanego mi autora o „Rzymskiéj wystawie sztuk pięknych“ z 1871 roku, ogłoszona w florenckim dzienniku Gazzetta d'Italia: „Artystyczny gust narodów, mówi ów recenzent, modyfikuje się i zmienia stosownie do zwyczajów i pojęć, podobnie jak one w każdym wieku się kształci i łagodnieje. Dziś wzbudzają w nas odrazę te okrutne przedmioty, które dla naszych dziadów były delicjami. Nikt z nas bez zgrozy nie może patrzeć na jakiegoś świętego Bartłomieja odzieranego ze skóry, na jakiegoś świętego Wawrzyńca pieczonego na ogniu, na jakiegoś świętego Szczepana kamienowanego, na jakiegoś świętego Sebastjana strzałami przeszytego, na jakąś świętą Katarzynę w koło wplecioną. Powoli wracamy do cywilizacji greckiéj, do pogańskich zwyczajów z epoki Peryklesa, kiedy śmierć muła, który dźwigał kamienie do Partenonu, była uznaną za klęskę publiczną i uczczoną expiacyjnym monumentem. Ta piękna tendencja objawia się dzisiaj w dziełach pędzla i dłuta... W sztuce nowożytnéj nie ma rzezi, męczeństw i innych spraw katowskich, lecz jest sama miłość, pląsy, uśmiechy i wszystko to co bawi i weseli. Taki jest charakter sztuki nowożytnéj. Ludzie sami przez się są dostatecznie dzikiemi, nie trzeba więc aby sztuka dodawała bodźca do ich przewrotnych skłonności, lecz przeciwnie uśpienie ich powinno być zadaniem sztuki. Sztuka jest wyrażeniem i odbiciem piękna, używać jéj do wyrażania cierpień, okropności i egzekucji, jest to kazać się jéj wyprzeć swego prawdziwego zadania, jest to wynaturzyć ją i skazić.“

Przytoczony wstęp dostatecznie maluje sposób zapatrywania się, traktowania i tendencje tutejszych pseudo-klasyków czyli realistów umiarkowanych i otwartych realistów, o klasykach zaś mowy nawet nie może być tutaj, bo oni nic wspólnego z ogółem artystów nie mają. Pierwsi reprodukują bardzo miłe, udatne i wdzięczne utwory rodzajowe i są dość szczęśliwymi portrecistami natury, któréj prawdę i rzeczywistość wiernie oddają w klasycznéj szacie i ozdobach, drudzy zaś wydają mi się pod pewnym względem uczniami Hejnego, bo dla tego tylko śledzą naturę i kopjują, aby ją wyśmiać, skarykaturować i wszystkie jéj śmieszności i ułomności wyciągnąć na wierzch, które przez swe fantastyczne dodatki starają się tém dobitniéj i potworniéj uwydatnić. Dla tego dzisiejsza sztuka a raczéj dzisiejsi artyści wzdrygając się przed obrazami krwawych dramatów, które oprócz głębszéj myśli przedstawiają tylko cierpienia fizyczne, cielesne, lubują się z zamiłowaniem w katuszach ducha, w potworach moralnych, w błocie i śmietniku społecznym. Ztąd to pochodzą w dzisiejszych utworach sztuki owi łachmaniarze, żebracy, gryzetki, sceny pijatyki, rozpusty, kradzieże i napady i t. p. ujemne sceny z życia ludzkiego, które nie odpowiadając wszelkim wymaganiom estetyki, spotwarzają i parodjują sztukę. Utwory realistów w sztuce mają tę jeszcze wadę, iż wiernie, cyrklowo oddając kształty i rysy swych bahatyrów, nie umieją nadać im życia, wyrazić ich charakteru, ich myśli, ich

duszy, którą zapewne tylko za przedmiot historji ludzkich złudzeń i filozoficznych mżonek uważają. Ztąd też ich dzieła sztuki w ogóle a szczególniéj utwory z pod ich dłuta wychodzące bardziéj posągów nadgrobkowych mają charakter, aniżeli przedstawiają obraz żyjących istot. Dla tego utwory ich przedstawiając życie w śmierci albo też śmierć żyjącą, tylko na cmentarzach, a nie w galerjach i wystawach znaleść winny pomieszczenie, a twórcom podobnych płodów miano cmentarników najstósowniéj w udziale dostać się powinno, bo oni zupełny brak myśli — która jest głównym objawem żyjącego człowieka — najzupełniéj zdradzają i tylko same wrażenia zmysłów przekazują nam na płótnie lub w marmurze.

Lecz nie wdając się w klasyfikowanie i rozbiór szczegółowy utworów tutejszéj sztuki, ogólny jéj charakter da się zdefiniować w tém jednem słowie: bezmyślność i brak wszelkiéj wyższéj i szczytniejszéj idei — jaką nauczono się zastępować kilku konwencjonalnemi i zużytemi tematami. Nie ma we Florencji prawie ani jednéj pracowni rzeźbiarskiéj (z wyjątkiem kilku, o jakich wyżéj wspomnieliśmy), w któréjby oprócz biustów i nadgrobków nie znajdował się jeden z następujących przedmiotów: Wiktor Emanuel, Cavour i Garibaldi w najrozmaitszych pozach i kostjumach; dziewczyna lub w starszym wieku niewiasta czytająca, chowająca, ściskająca lub trzymająca list miłosny — a przedstawiona w różnych pozach i fazach toalety, zaczynając od zupełnego negliżu... od koszulki aż do sukni balowéj; wreszcie Romeo i Julja jużto w grupie, jużto osobno, jużto wzdychający do siebie, jużto ściskający się w objęciach face en face, z boku lub przey sobie etc. dostarczają niewyczerpanego materjału dla ciężkiéj i niepłonnéj a raczéj niewolniczéj wyobraźni tegoczesnych artystów.

Serwilizm w kopjowaniu natury tak dalece się tu rozwinął, iż nie pozwala nawet wytworzyć się szkole historycznéj, jaką Vernet we Francji a u nas Matejko tak szczęśliwie inaugurowali, a do jakiéj same nawet dzieje ledwo co minionéj przeszłości i że tak powiem historycznego wczoraj obfitego dostarczają materjału, zwłaszcza dla malarzy.

Pisałem we Florencji dnia 5 września 1872 r.

Dr. Artur Wołyński.

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena XIV.

Profesor i Wojciech (wchodzi drzwiami w głębi. Skromnie nader ubrany; na głowie czapka, worek podróżny w ręku).

Wojciech (n. s.)

Sacre — na schodach ciemno djabelnie, ale tutaj widno. Niezłe wcale kartje. (Zbliżając się do profesora). Pardon, czy zastałem w domu pana Damazego?

Profesor (odwraca się).

Zastałeś pan. (Nagle.) Wojciech! Poznajesz mnie, poruczniku?

Wojciech.

Attends, attends! W pierwszym szwadronie czwarty pluton. Sacre! pod Dębem, pod Ostrołęką... tak, tak — oui — oui. Antoni — bodaj-że cię! A to spotkanie! (Ciska mu się na szyję).

Profesor (wzruszony — ciszéj).

Pst, pst! Pod Ostrołęką życie mi ocaliłeś, bracie!

Wojciech.

Ma foi — nie pamiętam. Wiem tylko, że okropnie rękę zmachałem od szabliska; aż mnie koty rozbolały.

Profesor.

Jakto koty?

Wojciech.

Kot, kot, boki...

Profesor.

Bardzo dobrze... Kot, kot, boki.

Wojciech.

Wszak z nami razem wymaszerowałeś do Prus?

Profesor.

Pst, pst! (Zamyka na klucz drzwi, któremi wyszedł Damazy).

Wojciech.

Co ci się stało?

Profesor.

Nic... Niech cię Pan Bóg broni, żebyś przed kimkolwiek, tém bardziéj przed bratem i bratową wspomniał, że się z kampanji znamy i że byłem w Prusiech.

Wojciech.

Oui — oui — rozumiem, musisz w tém mieć jakie swoje raison; wy tu w kraju inaczéj. Zbladłeś, zeschłeś — stary Antku! My, chociaż na ciężkim i obcym chlebie, patrzaj, ostrzéj się trzymamy. Czemu nie poszedłeś z nami, co tu porabiasz u Damazego?

Profesor.

Mieszkam w tym domu od kilku lat na drugiém piętrze i daję lekcje łaciny w niższych klasach.

Wojciech.

Łaciny? Brrr! Wolałbym, ma foi, obcierać gąbką spocone nozdrza koniom omnibusowym.

Profesor.

Bardzo dobrze. (Nagle). Ale ty co myślisz tu porabiać, odwykłszy przez tyle lat od kraju, którego pod wielu względami nie poznajesz i — zdaje się — mogąc obecnie na wychodźtwie właściwsze zajmować położenie niż tutaj?

Wojciech.

Ma foi — może masz i rację. Odkąd zesiadłem ze szmę de feru i kawałek miasta objechałem w woaturze...

Profesor (n. s.)

Szmę de fferu, woatiurze...

Wojciech.

Ciężko mi się na sercu zrobiło. Nie wyobrazisz sobie jednak, jaka mnie w ostatnich czasach napadała tęsknota za krajem. Przypominała mi się ciągle i coraz częściéj wieś, bór, Warszawa; znowu bór, znowu wieś i Warszawa. Zresztą Damazy tak mnie ciągle molestował listami.

Profesor.

Pewno molestować rozpoczął dopiéro po przedostatnim liście, jaki do niego pisałeś?

Wojciech.

Oui, oui — prawda! po przedostatnim, kiedy mu doniosłem, że dostałem emploi.

Profesor.

Emploi? Bardzo dobrze.

Wojciech.

Albo co?

Profesor.

Nic. (Nagle). Gdzież waliza twoja z rzeczami... czy nie masz innego ubrania?

Wojciech.

Waliza? Może jeszcze z pięć kolis? Po co? Wszak mam sak de wojaż, w nim parę koszul, niezły pardesincik...

Profesor (n. s.)

Raz, dwa, trzy.

Wojciech.

Dwie żiletki, żibins, co mi patron zrobił kado, nieco bręborjonów różnych — albo co?

Profesor (n. s.)

Cztery, pięć, sześć, siedm wyrazów z kiepska po francuzku w trzech zdaniach! (Głośno). Wybacz, bracie, mojéj otwartości; lecz wypada koniecznie przebrać się nieco...

Wojciech.

Allons donc! Po cóż tak nagle? Wszakże przyjechałem nie do obcych a do braterstwa, przyjmą mnie i w tym palto. Zresztą ja uwryjer przecie, nie żaden elegant.

Profesor (żywo).

Traf szczęśliwy zrządził, że mnie spotkałeś nim brata i bratowę zobaczysz. Wybierałem się nawet do ciebie na koléj. Wszak wierzysz staremu koledze?

Wojciech.

Ma foi — spodziewam się — jak sobie samemu.

Profesor (żywiéj.)

Zaklinam cię więc, chodź do mnie na chwilę! Przebierzesz się — tymczasem opowiem ci kilka szczegółów niezbędnych, wierzaj mi!

Wojciech.

Wiem, żebyś ze starego kolegi nie robił plaisanterie. Kiedy nalegasz, musi siedzieć w tém jakie licho. Marsz więc do ciebie!

Profesor.

Zdaje mi się, że kogoś słyszę w korytarzu. Idź z łaski swojéj prędzéj po schodach na prawo! (Wojciech odchodzi). Tymczasem drzwi otworzę (otwiera kluczem drzwi na lewo). Bardzo dobrze! Nikt mnie z nim, chwała Bogu, nie widział. Kto wié, z takim sprzymierzeńcem może mi się powiedzie i rola dziewosłęba. (Odchodzi, spotyka we drzwiach Kajetana).

Scena XV.

Profesor i Kajetan.

Kajetan (obładowany dwiema doniczkami i pakietami).

Padam do nóżek panu profesorowi. Wchodząc, spotkałem jakiegoś człowieka w kaszkieciku z pakunkiem, który idąc na górę nic mi nie odpowiedział na zapytanie.

Profesor.

Cóż to za człowiek?

Kajetan.

Człowiek, rzemieślnik albo służący, nie mogąc nadto dobrze widzieć w ciemności...

Profesor.

Bardzo dobrze. Może do mnie. (Patrząc na doniczki i pakiety). Czy pan myślisz założyć ogród i owocarnię?

Kajetan.

Przechodząc, nabyłem, mając zamiar dać prezent damom...

Profesor.

Winszuję. (Odchodzi).

Scena XVI.

Kajetan (sam).

Nikogo nie widząc, wypada przedewszystkiém zapisać. (Wydostaje pulares i zapisuje). Doniczka lewkonji 2 złot. pol. 10 gr. Dito rezedy 1 złp. 28 gr. Targowałem się z kwiaciarką do upadłego. Winiówki półtora złotego. Drogo! bacząc mianowicie, że to właśnie pora na winiówki. Czereśnie 2 złp. 10 gr. Razem 8 złp. 8 gr. a dodając ranny wydatek 1 złp. 22 gr., wypadnie okrągło 10 złp. Nie najgorsza to sumka — ale cóż? kochając się istotnie, naprawdę w pannie Klementynie...

Scena XVII.

Kajetan i pan Damazy.

Pan Damazy.

Jak się masz Kajciu? Profesorka nie spotkałeś?

Kajetan.

Owszém — wchodząc. Poszedł do siebie na górę. Poradź mi też pan, rachmistrzu dobrodzieju, czy mam lewkonję ofiarować pannie Klementynie a rezedę pani Rachmistrzowéj? Czy pannie Klementynie czereśnie a pani Rachmistrzyni winiówki?

Pan Damazy.

Pokaż-no Kajciu, czereśnie i winiówki. (N. s.) Jeszcze mnie zgaga piecze po porterze i winie, kwasku mi trzeba. (Zjada kilka czereśni). Podaruj im kwiaty i owszém — a ja sobie skonfiskować pozwolę owoce, zdadzą się i dla mnie i na deser przy obiadku. (Zabiera obie paczki).

Kajetan.

Kiedy już mówiąc z panną Klementyną...

Pan Damazy.

Nie obawiaj się... biorę na siebie wszystko.

Kajetan (n. s.)

Bezwstydny — 3 złp. 25 gr.! (Głośno). Idąc, spotkałem Ignasia Pfefferkuchen. Jeszcze raz mi zaręczył, przysięgając, iż w przyszłym tygodniu przyszlą Stanisławowi nominację na prowincję.

Pan Damazy.

Gracko spisałeś się, Kajciu, niech cię uściskam.

Scena XVIII.

Ciż — Wojciech, po nim wkrótce Profesor, pani Damazowa, Klimcia a w końcu Stanisław.

Wojciech (lepiéj ubrany z żibusem w ręku).

Jak się masz, bracie Damazy?

Pan Damazy.

Wosio, najukochańszy Wosio! Niechże cię uściskam najserdeczniéj — braciszku!

Wojciech.

Ma foi — z trudnością poznałem cię, bracie Damazy, tak młodym cię opuściłem.

Pan Damazy.

Pelciu, Klimciu! Co za szczęście dla nas! Brat Wosio przyjechał. Profesorku!

Profesor.

Bardzo dobrze.

Pan Damazy.

A — jesteś tutaj.

Klimcia (wbiegając z panią Damazową. N. s.)

Ach mój Boże! jakbym ojca mojego widziała — taki do niego podobny. (Głośno.) Stryju!

Wojciech (tuląc ją do serca).

Tę poznałbym wśród tysiąca, że to moja krew. Poczciwe dziecko!

Pan Damazy (wskazując na panią Damazową).

Bracie! moja żona.

Wojciech.

Witam bratową, witam. (N. s.) Ma foi — kwaśne jakieś babsko.

Pani Damazowa (n. s.)

Mógł téż przywitać się wprzód z bratową a potém z synowicą. (Głośno.) Dubeltową nam pan brat sprawia przyjemność, gdyż i swojém przybyciem i swoją osobą, któréj tak pragnęliśmy przybycia.

Profesor (n. s.)

Bardzo dobrze. Niby to sens bez sensu.

Pan Damazy.

Wosiu! Mój przyjaciel — profesor; mój kolega biórowy — pan Kajetan.

Kajetan (kłania się niziutko i obciera rękaw Wojciecha).

Przechodząc widać po schodach — pobielił się pan nieco.

Wojciech.

Fait rien. Dziękuję. (N. s.) Cóż to za facjata?

Pani Damazowa (n. s).

Niczego ubrany, starszy znacznie, za to zbudowany lepiéj i przystojniejszy od mojego.

Klimcia (nie zważając na ukłony Kajetana, z doniczkami w ręku. Do profesora z cicha.)

A mój biedny Staś męczy się tam nad rachunkami!

Profesor.

Bardzo dobrze. (Do p. Damazego). Wypada przecie, żeby i wasz aresztant uczestniczył w waszéj radości.

Pan Damazy.

Kiedy to, profesorku kochany, Pelcia. Sprobuję. (Szepta z żoną).

Kajetan (do Klimci).

Rezeda czy lewkonja? Mając do wyboru...

Pan Damazy (przyprowadza Stanisława).

Bracie! mój drugi kolega biórowy.

Klimcia (n s.)

Przecie. (do Profesora.) Dziękuję.

Wojciech (patrząc na Stanisława.)

Szabelki, lancy z chorągiewką, munduru z rabatami, to i wyskoczyłby, ma foi, niczego ułanek.

Stanisław.

Żeby to!

Profesor.

Bardzo dobrze. Gdyby to, oby to!

Kajetan (do Klimci).

Lewkonja czy rezeda? Mając do wyboru...

Pani Damazowa (z cicha do Klimci).

Dystrakt panna za nadto, nie raczy odpowiadać, kiedy mówią do niéj. — (Głośno). Postaw pan doniczki na oknie, poczciwy panie Kajetanie! A może i pan Stanisław raczy nie odrzucić naszego zaproszenia i zostanie z nami na obiedzie.

Stanisław.

Bardzo państwu dziękuję.

Pani Damazowa (n. s.)

Fanfaron! Ledwo głową kiwnął. Że tam rodzice dzierżawą chodzą w Radomskiém... mój ty Boże!

(Zasłona spada).

Z PRZYRODY.

Artykuł szósty.

(Teorja Béchampa o fermentacji. — Spór Secchi'ego i Faye'a o prądach wietrznych na słońcu. — Spostrzeżenia Botella o podnoszeniu się powierzchni ziemi. — Fulminantyna. — Niklowanie).

„Multa renascentur quae jam cecidere“ *), to zdanie Horacego mogłoby być zastosowaném do nowéj teorji p. Béchamp, profesora medycyny w Montpellier.

W XVII wieku wszystkie procesa z życia tłomaczono przez fermentacje — dla Paracelsa i Sylviusa, Val Helmonta i jego wyznawców, każde ciało ożywione było siedliskiem nieustannych fermentacji. Tajemnicza z natury swéj fermentacja objaśniała chorobę i zdrowie, śmierć i życie. Zmarła doktryna fermentacji i jestestw pasożytnych, żyjących w naszych organach, wskrzeszoną zostaje za dni naszych przez Béchamp'a, który ją opiera w pewnéj części na doświadczeniach.

Według téj hypotezy jestestwa mikroskopowe, zwane przez Béchamp'a „Microzymas“, w postaci małych ciałek ziareczkowatych istniejące w organizmie, łącząc się z sobą wytwarzają zwierzęcą tkankę komórkową. W skutek zmian zachodzących w umiejscowieniu tych istotek, wywołaném przyczynami fizycznemi, chemicznemi lub mechanicznemi, występują odpowiednie zmiany w organizmie. Innemi słowy, te drobne żyjątka stanowiłyby o zdrowiu lub chorobie, byłyby sprawcami wszelkich nieporządków, których teatrem jest ciało ludzkie.

„Mikrozyma, powiada Béchamp, jest fermentem; jest ciałkiem ożywionéem, zdolném rozmnażać się, nabywać chorób i je zaszczepiać. W stanie zdrowia owe żyjątka mikroskopijne oddziaływają harmonijnie na nasz ustrój — życie zaś nasze w całéj szerokości tego słowa jest fermentacją regularną. W stanie choroby, mikrozymy oddziaływają nieharmonijnie, niezgodnie, fermentacja ulega rozstrojowi. Mikrozymy wówczas albo zmieniły funkcje, lub też pozostają w układzie nieprawidłowym w skutek jakiéjkolwiek modyfikacji zaszłéj w żywiole, w którym żyją.“

Zobaczmy w jaki sposób Béchamp teorję swą przykładem objaśnia.

„Funkcją harmonijną jaja ptasiego, powiada on, jest wydać pisklę. W czasie wysiadywania tegoż jaja, celem procesów chemicznych w niém się odbywających, jest przetworzenie materjałów żółtka i białka w rozmaite związki chemiczne, któreby posłużyły do budowy różnych organów składających ptaka w pełnym jego rozwoju. Owóż to jaje wyłącznie zapełnioném jest przez mikrozymy, w ten sposób, że rozpatrując się ze stanowiska chemicznego, wszystkie składowe części jajka są dziełem owych mikroskopowych żyjątek.

Nietylko istotki te są fermentami, ale nadto zdolne są one zrodzić bakterje, każda zaś bakterja powstała z mikrozymy jest takim samym fermentem jak i tamta.“ Owóż mikrozymy byłyby fabrykantkami komórek, w tym jednak nowym stanie funkcje ich według Béchamp'a mogą być całkiém zmienione, mikrozymy, fermenty masłowe, mogłyby zrodzić mikrozymy fermenty alkoholowe.

Wreszcie tajemnicze jestestwa naszéj tkanki komórkowéj mogą ulegać chorobie i jéj udzielać. Za przykład podaje Béchamp chorobę jedwabników, która istotnie według najnowszych spostrzeżeń od rozwoju w tych owadach jestestw mikroskopowych pasożytnych pochodzi.

„Niema wątpliwości, powiada on, że zarodki ospy i jadu zaraźliwego zawierają w sobie mikrokosmy sobie właściwe, a raczéj materji osobnika, z któréj powstały.“

Przyczyna chorób naszych leży w nas samych; przyczyny zewnętrzne nie wpływają na rozwój choroby, jak tylko w tym razie, gdy zachodzą jakieś zmiany materjalne w żywiole, w którym żyją ostatnie cząstki materji zorganizowanéj, nas składającéj — czyli materji złożonéj z mikrozymów.

Po śmierci, dodaje Béchamp, potrzeba, aby materja wróciła do swego stanu pierwotnego. W ostatnich czasach przeceniano zbytecznie znaczenie zarodków, które pływając w powietrzu, dostają się do ekonomji zwierzęcéj. Powietrze przynosi je nam w rzeczy saméj, teorja organizmu bynajmniéj ich nie potrzebuje. Mikrozymy same wystarczają, aby drogą rozkładu zgniłego zapewnić ruch cyrkulacyjny materji.“

Jestestwo żywe zapełnione mikrozymami, nosi samo w sobie, według Béchamp'a, elementa główne życia, choroby, śmierci i zniszczenia.

Hypoteza choroby i zdrowia, życia i śmierci, któréj Béchamp staje się krzewicielem, znalazła w kołach naukowych zdziwienie i niedowierzanie. Wprawdzie jéj twórca wykrył w kulkach krwi ludzkiéj żyjątka mikroskopowe, z faktu tego wszakże budować tak śmiałe rusztowanie, jest to samo, co narażać go na nieunikniony upadek. Byt w organizmie zwierzęcym żyjątek od niego niezależnych i obdarzonych ruchem, nie ma zresztą dość poważnych świadectw za sobą. Jeżeli przyszłe doświadczenia wykryją byt jestestw mikroskopowych tak w tkance zwierzęcéj jak i roślinnéj, hypoteza Béchamp'a zyskać może dopiéro wówczas pewniejszą podstawę i zmieni dotychczasowe poglądy fizjologji i patologji. Dotąd wszakże takiéj podstawy jéj brakuje.

Secchi, znany fizyk włoski, popierając hypotezę Zollnera, z badań swych nad kulą słoneczną przychodzi do wniosku: że istnieją tam perjodyczne prądy wietrzne, płynące od równika do biegunów, sięgające najwyższych warstw chromosfery, w któréj mają miejsce wytryski gazów, zwane wyskokami czerwonymi. Przeciw temu poglądowi wystąpił obecnie znakomity astronom francuzki p. Faye. Niema wątpliwości żadnéj, powiada on, iż przyjdzie chwila, w któréj słońce zeskorupieje jak nasza ziemia, i wtedy na niém z czasem wytworzą się morza, lądy i rozległa atmosfera, z właściwymi jéj wiatrami i chmurami. Dziś wszakże to wszystko do przyszłości słonecznego ciała jeszcze należy. Budowa jego fizyczna jest tą samą jaką była przed miljonami lat — słońce pozostaje w jednakowym stanie, jako olbrzymi szafarz światła i ciepła. Ustrój jego zupełnie różny od naszéj planety, jakkolwiek prawa powszechne mechaniki, fizyki i chemji utrzymują się na niém też same, jakie są dla ziemi: światło i ciepło, płynące nieustannie z powierzchni słonecznéj, wkrótceby wyczerpaném zostało, gdyby nie było zasilaném przez większe słońce, z którego ciągle wypływają nowe ilości płonących gazów roznoszonych przez prądy wstępne. Ztąd trwa bez przerwy ruch od środka ku powierzchni słonecznéj kuli — ruch od dawna znikły dla każdéj gwiazdy zgasłéj i zaskorupiałéj, jak nasza ziemia. Z tych wszystkich względów, powiada Faye, błędną jest hypoteza przyjmująca istnienie około słońca atmosfery podobnéj do otaczającéj ziemię, z chmurami i wiatrami perjodycznemi. Plamy słoneczne bynajmniéj nie są obłokami, lecz po prostu

*) Wiele z tego co ginie, odradza się na nowo.

zaklęsłościami — żadne zaś prądy stałe wietrzne przebiegać drogi w kierunku od równika do biegunów słońca i odwrotnie nie mogą. Analiza widmowa w rzeczy saméj popiera pogląd p. Faye — hypotezy Secchi'ego zresztą nie potwierdzają żadne ściśle doświadczenia.

Zajmujące dziełko: „O podnoszeniu się powierzchni ziemi", wydał niedawno p. Botello. Autor między innemi zwraca uwagę czytelnika na dwa przykłady, dowodzące, stosunkowo biorąc, dość szybkie wynoszenia się gruntu. W prowincji Zamora, powiada on, ze wsi Villar-don-Diego, można było widzieć przed 23 laty, zaledwie wierzchołek dzwonu kościoła zbudowanego w Remifarres, wsi leżącéj w prowincji Valladolid — dziś dzwon ten jest widocznym do połowy swéj wysokości z téjże saméj miejscowości. Podobneż zjawiska zaobserwowano w prowincji Alawa. W roku 1847 podróżny zwiedzając wieś Salvatiera dostrzegał wierzchołek dzwonu kościelnego w Salduende, dziś widzi całą wieś przed sobą. Według autora wszelkie przekształcenia na powierzchni ziemi zachodzące, wynikają z powolnych processów — nie są zaś bynajmniéj wypływem katastrof geologicznych, skutkiem których, jak dawniejsi naturaliści mniemali, dźwignięte zostały Alpy, Kordyljery i inne pasma górskie.

Dr. Justus Fuchs z Alt-Bezum na Szląsku Pruskim wynalazł nową materję wybuchową, którą nazywa Fulminatyną. Nowy ten przetwór różni się od dynamitu tém, że zawiera daleko większą ilość nitrogliceryny. W dynamicie zresztą 25% jest krzemionki, w fulminatynie zaś wchodzi 15% materji chemicznie przysposobionéj, będącéj tajemnicą wynalazcy. Próby z tą nową materją piorunującą odbywane okazują, że zapalona zmienia się prawie całkowicie w gaz, co niezmiernie zwiększa jéj siłę eksplozyjną. Wiadomo zresztą, że dynamit pozostawia po spaleniu krzemionkę, w postaci białego osadu, fulminatyna zaś po kombustji daje mały osad z sadzy pochodzący. Dodać winniśmy, że cena nowego przetworu nie jest bynajmniéj wyższą od ceny dynamitu.

Dotychczas jużto w ogniu, już za pomocą galwanoplastyki złocono, posrebrzano lub bronzowano przedmioty sztuki — obecnie wejdzie zapewne w użycie niklowanie, czyli powlekanie metalów warstwą niklu. Ojcem tego wynalazku jest p. Stolba. Według jego metody stężony roztwór chlorku cynku, umieszcza się w naczyniu metalowém i rozbiera równą objętością wody. Następnie płyn poddaje się zawrzeniu; dodając kroplami kwasu chlorowodornego aż dotąd, póki strącanie osadu nie ustanie, poczém dosypuje się nieco proszku cynkowego, który osadzi cynk na całéj powierzchni naczynia metalowego przez płyn zajętego. Wówczas dodawać należy siarczanu lub chlorku niklu, dopóki płyn nie zabarwi się na zielono.

Roztwór służący do niklowania już jest gotowym. Przedmioty, które chcemy powlekać warstwą niklu, dość jest zanurzyć z kilku kawałkami cynku w powyższym roztworzeniu. Nikel osadza się na nich bezzwłocznie, i po upływie 15 minut wydobywamy je z kąpieli wspomnionéj całkiém nim powleczone. W podobny sposób możemy powlekać metale i inne przedmioty kobaltem, przy użyciu którego wystąpi barwa popielato-stalowa, mniéj wszakże połyskowna i mniéj trwała od powłoki niklowéj.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Chléb bez soli. Powieść z czasów rozbioru Rzeczypospolitéj — przez Jana Zacharjasiewicza. Poznań, nakładem L. Merzbacha. 1872, str. 360.

Powieść historyczna we właściwém znaczeniu wyrazu powstała u nas dopiéro z pojawieniem się w piśmiennictwie naszém imienia Henryka Rzewuskiego i idącego w ślad za nim Kaczkowskiego Zygmunta, który przejąwszy się formą poprzednika, wydoskonalił ją i uzupełnił, repertoar zasilił nowemi żywiołami a całość przyozdobił wysoko posuniętym kunsztem artystycznym. Przyswoiwszy sobie umiejętnie ogólne znamiona tła XVIII wieku, nakreślonego przez hr. Henryka wedle ustnéj tradycji — prawdziwie po mistrzowsku oświecił tém pożyczaném światłem oryginalne postacie szlachty sanockiéj, któréj cały legjon mógł wyprowadzić w pole romansu, bo ją znał wybornie z luźnych zapisków jakiegoś domorosłego historjografa.

Publiczność i krytyka z niezwykłym zapałem, z bezwzględném niemal uwielbieniem przyjęły obydwóch pisarzów. Uznanie było dobrze zasłużone i sprawiedliwe, bo wystąpienie tych koryfeuszów dziejowego powieściopisarstwa sprawiło w niém przewrot zupełny, rzuciło je na całkiém inne, niż dotąd tory. Czy jednak zwrot ten zasługuje bezwarunkowo na tak szumne panegiryki, jakiemi go obsypano, czy nie ma także stron ujemnych? oto pytanie godne bacznéj uwagi. Powszechne uniesienie wywołane na razie utworami nowéj szkoły, zdaniem naszém, nader przeholowane, wytłomaczyć można a nawet trzeba najprzód tą okolicznością, że przedstawiciele nowego kierunku w literaturze pochwycili ideje i dążności nurtujące w głębi łona naszego społeczeństwa, że wzięli naród za serce, dając mu w miejsce nielitościwego potępienia dnia wczorajszego, gorącą apologję téj niedawno ubiegłéj przeszłości — wytłomaczyć je daléj należy uderzającą wyższością nowego, tryskającego życiem i ciepłém romansu nad bezbarwnemi i nudnemi jak lukrecja płodami dawniejszych powieściopisarzów. Zachwyceni jędrnością i swojskością bohaterów, nie pytaliśmy wówczas wcale, czy istotnie ogół przeszłowiecznego społeczeństwa miał taką a nie inną fizjonomję, czy te typy zawadjackich i hulaszczych szlachciców, zamiast coby być miały uosobieniem powszechności, nie były raczéj pojedyńczemi tylko indywiduami, które swoją oryginalnością lub dziwactwem patrzącemu zdala najbardziéj wpadły w oczy, lecz mimo to nie reprezentują rzetelnie współziemian.

O tém wszystkiém kazał nam zapomnieć źle zrozumiany patrjotyzm i olbrzymi talent Rzewuskiego i Kaczkowskiego. A tymczasem profanum vulgus naśladowców fabrykując powieści na wzór i podobieństwo mistrzów, okradał ich zwykle z tego, co mieli najmniéj dobrego i ośmieszał w ten sposób rzecz samą. Publiczność przez całe pokolenie karmiona temiż samemi zużytemi typami wąsaczów, szalonéj odwagi zawadjaków, rębaczy szukających wiecznie burdy na drodze czy w karczmie, pobożnych do fanatyzmu a przytém tak słynnych zwolenników Bachusa, że nietylko garncowe roztruchany, lecz nawet całe beczki węgrzyna wychylali, zawołanych pieniaczów, tyranów własnéj rodziny, uważających jak najczęstsze używanie boćkowskiego kańczuga za najlepszą metodę edukacyjną — musiała się niemi przesycić i nabrać do nich wstrętu.

P. Zacharjasiewicz, pisarz pierwszorzędny, dzięki delikatnemu smakowi i poczuciu estetycznemu, ustrzegł się ponętnych sideł, w jakie dotąd po większéj części popadali ludzie biorący za tło do swych powieści wiek przeszły; nie poszedł za Rzewuskim, lecz sam sobie postanowił torować drogę. Już ta wiara w siebie i szla-

chetna dążność stawienia narodowi przed oczy piękniejszych postaci, przejmują nas niekłamanym szacunkiem dla osoby powieściopisarza. Zacharjasiewicz nie lubuje się w malowania scen jaskrawych, drażniących i na niższe popędy natury ludzkiéj obliczonych — nie ujrzysz w nim uprzedzeń kastowych, szpecących płody Rzewuskiego i Kaczkowskiego — kocha on przeszłość równie gorąco jak oni, a w tém ich przewyższa, że umie odróżnić to co dobre i zdrowe, od złego i zbutwiałego, że nie widzi Polski w jednym stanie, lecz wszystkich bez różnicy uważa za rodzone dzieci jednéj ojczyzny. Cośmy powiedzieli wyżéj, odnosi się nietylko do Chleba bez soli, lecz także do znanych nam dwóch innych na témże tle osnutych powieści p. n. Marek Poraj i Noc królewska. W ostatniéj idąc za nowemi poglądami Walerjana Kalinki na postać Stanisława Augusta, wystawia go jako monarchę o najlepszych chęciach, lecz bez energji i stanowczości, poddającego się zbyt łatwo zgubnym wpływom — wystawia nam go w chwili, gdy pofolgowawszy szlachetniejszemu natchnieniu, ożywiony pragnieniem poświęcenia dla kraju, bez względu na osobiste narażenie się, nie zważając na ostrzeżenia, że go tam śmierć czeka niechybna, bierze udział w obchodzie rocznicy konstytucji 3go maja; w pierwszéj zaś i drugiéj broni społeczeństwa naszego od zarzutu, jakoby podział Polski nie przejął go zgrozą i cierpieniem, jakoby naród był trupem bez czucia. Mylność podobnego mniemania wykazuje szanowny autor nadzwyczaj pięknie i poetycznie, porównując Rzeczpospolitę (w pierwszym razdziale Chleba bez soli) do Herkulanum i Pompei, zalanych ognistemi strumieniami lawy. Marek Poraj i Chleb bez soli to dwie przez autora spisane tradycje, dowodzące, że „społeczeństwo żyło i w całéj pełni czuło bolesć, gdy je ćwiertowano bezlitośnie.“

Tradycje to wzniosłe i opowiedziane z wielkim efektem — lecz przyznać trzeba, niestety, że wykonanie pozostałych części powieści, stanowiących niejako przygotowanie do rozwiązania, nie dorównuje bynajmniéj wysokości założenia. Wypływa to po części ztąd, że p. Z. mając nieustannie cel pracy swojéj na oku, nim tylko zajęty, mało zwracał uwagi na obmyślenie węzła intrygi i narysowanie osób działających — po części zaś ztąd, że odrzuciwszy stanowczo dotychczasową manierę przedstawiania charakterów, sam na to miejsce nie zdołał dać nic nowego. Dla tego też w „Nocy królewskiéj“ jak to już gdzieindziéj powiedzieć miałem sposobność, stosunek Rafała do Julji naszkicowany zbyt pobieżnie — malarz (Rafał) lubo arcy-szlachetny, jest bardzo bladym — obie zaś części utworu, t. j. historyczna, odpowiadająca tytułowi i właściwy romans, związane ze sobą nader wątłą nicią. Z téjże saméj przyczyny brak wybitnych indywidualności w dwóch pozostałych powieściach. W „Poraju“ ocala całość jeden wyraźnie zakreślony i konsekwentnie przeprowadzony charakter — osobistość tytułowa, jako tóż właściwe jądro tradycji, jazda wśród mrozu za kordonem i szukanie piędzi wolnéj ziemi na grób dla Imć Pana Kochanowskiego; po za autorem dzieła „O naprawie Rzeczypospolitéj“ widzimy chorobliwą postać suchotnika, Michała, po większéj części tylko w łóżku — i niezrozumiałą dla nas Paulinę, mającą na początku wszelkie pozory ideału a przeniewierzającą się z dziwną łatwością kochankowi, aby iść za gładkiego dworaka, Salezego, i poddającą się wreszcie mimo objawów wewnętrznego cierpienia, miłosnym zabiegom zepsutego króla. Rzekoma ekspiacja, zasadzająca się na nagłym jéj zgonie, wywołanym słowami ojca, wprost przeciwny na czytelników wywiera skutek, bo robi wrażenie nieprawdopodobieństwa.

Podobieństwo sytuacji między wspomnianemi powieściami wielkie: w „Nocy królewskiéj“ Rafał zamiast szukać szczęścia w związku z równą sobie pochodzeniem, bladą dziewczyną, goni za płochą starościną i znajduje rozczarowanie — równego losu (w Poraju) doznaje Paulina, porzucająca bez żalu Michała dla Salezego. Blada dziewczyna opuszczona popada w obłąkanie, Michał kończy na suchoty.

O ile się miłości do Michała przeniewierzyła Paulina w „Poraju“, o tyle przeniewierzył się miłości ojczyzny (w Chlebie bez soli) Marjan Szucki. Ekspiacją z jego strony jest pozbawienie ręki ukochanéj Krystyny. W ostatniéj chciał autor przedstawić ideał Polki — jest ona do końca równie szlachetną, równie patrjotyczną, jak na początku, lecz jéj nie widzimy prawie: zdaje się, iż dmuchniesz na tę postać obłoczną a rozpłynie się i zniknie jak bańka mydlana. Wyraźniejszym już nieco, lecz ani prawdziwym ani sympatycznym, jest bohater powieści, p. Szucki. Tak on, jak inne osoby, podobniejsze raczéj do automatów woskowych, niż do ludzi z krwi i kości. — Podobało się autorowi przeciwstawić we wszystkich trzech powieściach regałów czyli stronników króla Barszczanom. Prawdziwego konfederata widzieliśmy tam przecież tylko jednego, Imć Pana rotmistrza Poraja — cały tłum zresztą tak jednych jak drugich nie odróżnia się niczém od siebie, t. j. wszyscy regały na jedno, a konfederaci na drugie ukuci kopyto. Nawet mimo widocznéj stronniczości autora na rzecz Barszczan, niejeden czytelnik przechyli się ku regałom reprezentowanym w osobie Korwina, ustępującego jak Rzymianin z dziedziny przodków, podczas gdy Szucki, konfederat, ojcowiznę swoją sprzedaje...

Dziwna rzecz, iż p. Z. nadając w ogóle konfederatom znamię dzielności i energji, w szczegółach, w bohaterze swoim nawet, przedstawia ich tak niedołężnymi! Sprzeczność to nie do darowania. Nie dość wziąć szlachcica o wygolonéj czuprynie, sumiastych wąsach, minie djabléj i przywiązawszy go do szerpentyny, kazać mu mówić z rozrzewnieniem o Rzeczypospolitéj — bo pomimo to może on być, jak się pokazało na Szuckim, wielkim mazgajem... W człowieku tym nie widać ani obyczaju tamtéj epoki, ani charakteru odpowiedniego czasowi i stanowisku — do Krystyny przemawia nie jak konfederat, lecz językiem dzisiejszych lekkoduchych rycerzy salonu — jedyny stanowczy krok zawdzięcza śmiałéj radzie dowcipnego palestranta, rezydującego pod stołem sławetnéj karczmy pod złotą wiechą i pomocy goszczącéj tamże braci szlachty. „Śród prawdziwie piekielnego spektaklu“ w téj gospodzie wywnętrzając się ze swych miłosnych zapałów zapłakanemu wiecznie p. Kasprowi, współkonfederatowi (następnie i reszcie zebranéj szlachty) pokazuje mu kościste piersi swoje, na których, jakby na greckim posągu, rysowały się wybitnie wszystkie wklęsłości i wypukłości klatki piersiowéj, na co roztkliwiony p. Kacper zauważa, że „piersi jego chude jak u św. Wawrzyńca na obrazie u Paulinów.“

Zachęcony okazaném współczuciem konfederat, tak dalece unosi się sentymentalizmem, że mówi: „Opowiadałem o mojéj miłości pierwszemu lepszemu krzakowi lub sterczącéj samotnie skale, wyobrażając sobie, że w nich znajdę przyjaciela... a kiedy na wyniosłém wzgórzu wśród nocy stałem i nigdzie ani drzewa ani kamienia nie było, wtedy gwiazdom spowiadałem się z utrapienia, a kiedy już przed dalekiemi wodami zaświtała jutrzenka, wyciągnąłem ku niéj ramiona, jakoby do oblubienicy swego serca, która z rozpuszczonym warkoczem wstaje z łożnicy, aby zbliżyć się do tego, który ją jedyną na całe życie ukochał...“ i t. d.

Wystawcież sobie, łaskawi czytelnicy, tak idylicznego konfederata, wyciągającego na wedecie ramiona do jutrzenki, rozmawiającego ze skałami i krzakami i porównajcie go ze szlachcicem Rzewuskiego lub Kaczkowskiego — zapewne że oni zbyt jaskrawych nałożyli nań farb — lecz p. Z. uczynił go zupełnie bezbarwnym i zgoła do oryginału niepodobnym. Ztąd też każdy

przeczytawszy „Chléb bez soli“, czuje pewien niesmak lubo architektonika powieści nader zręczna, kilka obrazków bardzo wdzięcznych, dążność zasługująca na najwyższe uznanie, świadczą o patrjotyzmie i niepospolitym talencie powieściopisarskim autora.

Klemens Kantecki.

TEATR.

Towarzystwo dramatyczne poznańskie dzięki gorliwości kierownictwa i usilnéj pracy składających go członków, robi coraz to widoczniejsze postępy, które słuszność zanotować nam nakazuje. Główne siły personału, na które zwracaliśmy już uwagę, przywykły do siebie, miały czas poznać się wzajemnie i oto znikają jedna po drugiéj drobne usterki, uwydatniają się fachowe zdolności, a coraz stósowniejsze ich używanie przy obsadzie ról, wpływa bardzo korzystnie tak na wykonanie szczegółów, jak na wyrównanie gry zbiorowéj.

Repertoar ostatniego tygodnia nie przyniósł wprawdzie oryginalnych nowości, lecz wprowadził na scenę parę dobrych dramatów tłomaczonych i kilka fars banalnych, podrzędnych, lecz szczerze wesołych a co ważniejsza ściągających do teatru liczną publiczność i przysparzających środków materjalnych. Że dyrekcja obsaczona najniekorzystniejszemi warunkami finansowemi, widzi się zmuszoną przywoływać na pomoc „Żyda w beczce“, to nikogo dziwić nie może i nie powinno, ale że publiczność większemi nierównie względami darzy owego „Żyda“ aniżeli poważny dramat lub salonową komedję, to świadczy tylko o tym rodzaju smaku, który, nie mając z estetyką najmniejszéj styczności, uchyla się od sądu.

Zapisawszy ten fakt, przejdźmy do zwykłego przeglądu.

Dramat Mosenthala „Deborah“ należy do tych utworów sensacyjno-tendencyjnych, które przebrzmiawszy z chwilą, na którą były obliczone, zachowują tylko literacką wartość. Téj wartości nikt zapewne wspomnionemu dramatowi nie zaprzeczy, dziś bowiem jeszcze czytać go można z przyjemnością. Sceniczna jednak i wpływowa jego wartość jest bardzo problematyczną, nietylko bowiem napisany jest podług staréj modły, która zasadzała się przeważnie na deklamacyjnym bombaście, dając nadzwyczaj mało akcji, życiowego ruchu — ale traktuje kwestją dziś już nie istniejącą i do dna wyczerpaną. Kwestją tą jest uznanie praw człowieka, równouprawnienie wyznań.

Deborah, to żydówka ścigana przez fanatyzm, to żywy protest przeciw nietolerancji i przesądom. Obłędy tego rodzaju nie istnieją dzisiaj, a jeżeli może być mowa o prześladowaniu, to autorami jego są teraz w innéj formie żydzi. To też postać Debory i jéj współwyznawców zastaje nas zimnych i bez współczucia, żałujących poniekąd, że świetny talent autora, wytwarzający pyszniące się efektem sceny i głęboko dramatyczne sytuacje, skierował się na tak obojętny przedmiot.

Główne role wykonane były zadawalniająco. Pani Grabińska w roli tytułowéj, przewyższającéj jéj środki wokalne, umiała wznieść się na prawdziwie dramatyczne stanowisko i pod względem mimicznego wykończenia nic nie zostawiła do życzenia. Pan Grabiński (Józef) dał wszystko, co myślący i systematyzujący artysta dać może, atoli stanowczo zimny ton, jaki przewodniczył całości gry jego, nie godzi się bynajmniéj z charakterem entuzjasty i kochanka.

Z postaci stojących na drugim planie należy podnieść małą lecz znaczącą rolę Rubena, odegraną bardzo dobrze przez p. Molskiego i równie dobrą grę p. Henneman (Józia).

Drugim utworem, o którym mówić mamy, jest 4ro aktowy dramat „Joanna“ (Mia madre), napisany przez Dominika Galatti, na popis dla roli tytułowéj. Dzieła tego rodzaju grzeszą zwykle przesadą, naciąganiem sytuacji, gwałtowném sileniem się na koncentrowanie efektów koło głównéj roli i nadużywaniem motywów psychicznych. Dramat p. Galattiego od grzechów tych wcale nie jest wolny, a jeżeli, obierając za temat szczytne poświęcenie się córki dla ociemniałéj matki zdobywa sobie nasze sympatje, to za to nie robi sobie najmniejszéj ceremonji z naszemi nerwami, tortorując je nielitościwie przesadą. Jeżeli dzieło to podobało się i utrzyma na scenie, to zasługa w tém nie autora, lecz artystów naszych, dla których nie mamy za odegranie „Joanny“ dość słów dobrze zasłużonego uznania.

Jeżeli pani Grabińska (Celina), pp. Benda (Wiktor) i Puchniewski (Kiewicz) niemal bez najmniejszego zarzutu postacie swoje przedstawili, to cóż powiedzieć o pani Nowakowskiéj (Joanna) i p. Grabińskim (Dr. Meckel) którzy wytworzyli wykończone artystyczne duo. Wszystkie ich sceny we dwoje były koncertowe, intonacje głosu, stosowanie dźwięku do znaczenia słów, najsubtelniéj pomyślana i wykonana mimika — oto rezultat bacznéj naszéj uwagi. Szczęśliwi, że tak pochlebny sąd zapisać możemy, wyrażamy głębokie przekonanie, że teatr mający takich artystów nietylko być swój zapewni, ale przyczyni się niemało do wyrobienia smaku i zapatrywania na scenę ze stanowiska sztuki.

POKŁOSIE

Bibliografja:

— **Bucher, B.** „Die Kunst im Handwerk.“ Wien. W. Braumüller. — Opisując różnorodne rzemiosła i sztuki, wywodzi autor, że wszystkie wyroby i utwory industrji powinny być pożyteczne, odpowiadając równocześnie wymaganiom praw piękna; czyli, że zastósowana forma i ozdoba uszlachetniać powinny każdy przedmiot pożyteczny.

— **Levy Bernh.** Dr.: „Die Judenfrage in den Donau-Fürstenthümern.“ Berl. J. Levit. — Żali się autor, że prześladują żydów w Rumunji, w Czarnogórze a zwłaszcza w Serbji, i wzywa pierwszorzędne państwa Europy, aby nie cierpiały podobnych nadużyć praw międzynarodowych. P. Lewy zapomina w owém dziełku, o dwóch rzeczach: 1, że Europa głuchą jest na skargi słabszego, jak tego dowodem wytępienie narodu bohaterów na Kaukazie i 2, że na żydach gościnnie przyjętych w niejednym kraju ciążą grzechy i winy, które nie tak łatwo im będzie odpokutować.

* * *

Skrzynka do listów.

Gazecie Toruńskiéj. — Miasto długiéj odpowiedzi na tendencyjną napaść w Nrze 249 i 250 — uważamy za konieczne zapisać, że „Ojczym“ nie był rozbierany ani w „Gazecie Wielkopolskiéj“ ani w „Dzienniku Poznańskim“ — daléj że powieści „Pozory mylą“ i Historja o dwóch parach“ nie były nigdy drukowane w „Tygodniku.“ Kto chce krytykować, powinien zachować przynajmniéj pozory sumienności, powinien zarówno wytykać strony ujemne, jak podnosić dodatnie — inaczéj z krytyki susumiennéj i przedmiotowéj, wyrobi się wstrętny paszkwil, obrany z wszelkiéj rozumnéj podstawy...

— **P. S. odesłał dawno — Thorn p. r. i prosi bardzo o odp**